

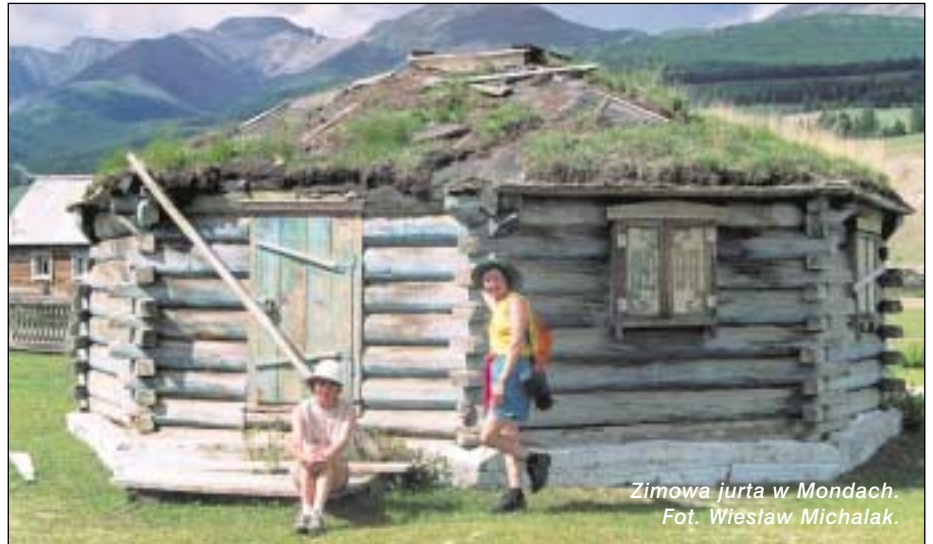
Z kajakiem i bez kajaka w Buriacji nad Bajkałem

Celina Mróz

Każdy z turystów-kajakarzy ma zapewne własne spojrzenie na kajakarstwo. Dla jednych jego istotą będzie samo wiosłowanie i zdobywanie kolejnych szlaków, dla innych kajak może być tylko tłem i środkiem do poznawania okolic, przyrody, historii, spotkania nowych ludzi, a czasami wręcz poznawania nowych kultur. Każdy z tych poglądów znajdzie swoich zagorzałych zwolenników i przeciwników. Niech ten artykuł będzie przykładem, że czasami warto nie tylko wiosłować, ale uysiąść z kajaka, rozejrzeć się wokół, zastukać do czyichś drzwi, a może stanąć się gośćmi samego szamana...

Pomysł wybrania się z kajakiem nad Bajkał zawdzięczamy Tatianie i Tolikowi z miasta Kemarowo na Syberii. W zeszłym roku odradzali nam rzeczkę Nerl pod Moskwą jako nudną i zaprosili na spływ Utulikiem wpadającym do Bajkału. Ale kiedy tego lata zgodziliśmy się na wspólną wyprawę, z każdym e-mailem wygaszali nasz entuzjazm. Wpierw wyjaśniło się, że oni płyną od lat tylko na katamaranach. Potem, że Utulik to piąty stopień trudności (WW5) i oczywiście odradzali nam płynięcie tam naszymi składanymi bajdarkami. Na potwierdzenie przesłali zdjęcie z tego spływu, niesłychanie widowiskowe, gdzie w fałach i bryzgach piany ledwo widać ich kaski i kamizelki. To było dla mnie za spiczasto, szczególnie, że w naszej ekipie tylko Jarek pływał na górskich rzekach, był na Dunajcu i Południowym Bohu na Ukrainie. Reszta miała niewielkie doświadczenie wyniesione z górnego Dunaju i przełomu Raduni. Niezrażony jednak Jarek w następnym e-mailu dopytywał się, jak się dostać w górę Utulika. Kemarowo odpowiedziało, że biorą katamarany na plecy łącznie z pozostałym sprzętem oraz całym jedzeniem i idą trzy dni po 50 km, pokonując przy okazji kilkaset metrów różnicy wysokości. Dla ilustracji swojej opowieści, przekazali fotografię, gdzie przy linie zanurzeni po pas przechodzą z plecakami rwący strumień. To ostatecznie ostudziło również i Jarka zapalę.

Postanowiliśmy poszukać łatwej rzeczki w rejonie Bajkału. Po przeczytaniu książki J. Witzcuk i St. Pagacza „Bajkał morze Syberii” nasz wybór padł na Irkut. Rzeka Tunkińskiej Doliny ma górski odcinek od wsi Mondy do wsi Szimki, dalej rozlewa się spokojnie po równinie w stronę Bajkału, by 18 kilometrów od jeziora zawrócić na zachód i przedrzeć się znowu 70-kilometrowym odcinkiem przez góry. Po rozważeniu wszystkich za i przeciw, zdecydowaliśmy się na odcinek Mondy – Zun-Murino. „Choć na rzece jest sporo



Zimowa jurta w Mondach.
Fot. Wiesław Michalak.

mielizn, zakoli i bystrzyn, zaprawieni w spływach Rosjanie uważają, iż jest ona jedynie wprawką przed poważniejszymi wyzwaniami. Wrażeń jednak nie zabraknie, przede wszystkim dzięki malowniczym widokom to na łagodne, zalesione stoki Chamar-Dabanu, to na strome, skaliste szczyty Tunkińskich Golców. Bogactwo jagód, grzybów oraz ryby są dodatkowymi atrakcjami spływu”. A więc decyzja podjęta: najpierw dwa dni kajakami wzdłuż Bajkału, a potem wielkie spływanie Irkudem!

Spotkania z e-mailowymi przyjaciółmi

Z Rosjanami zaczęliśmy korespondować przez Internet dwa lata temu, kiedy tą drogą szukaliśmy kajakarzy chętnych do wysłania nam zaproszeń. Wtedy bowiem jeszcze sądziliśmy, że jest to jedyna droga do dostania się indywidualnie do Rosji. Z licznej początkowo grupy korespondentów, po paru miesiącach, zostało kilka osób. A przez ten czas bezosobowe początkowo imię przekształciło się w człowieka z charakterem, poglądami i zamiłowaniem.

Teraz mieliśmy okazję spotkać niektórych naszych korespondentów osobiście. Podaliśmy dokładne informacje o godzinie przyjazdu do Moskwy Fiedorowi mając nadzieję, że wyjdzie nam na spotkanie. Niestety, nie było go na Białoruskim Dworcu, a stanowiliśmy grupę nie do przecoczenia wraz z dwoma wózkami ze składanymi kajakami. Przeskoczyliśmy na Dworzec Jarosławski, zostawiliśmy wózki pod opieką Ani i w trójkę poszliśmy kupować bilety powrotne. Nie było nas ze dwie godziny, wracamy po szczęśliwym zakupie. Widzimy Anię roześmianą od

ucha do ucha, z butelką piwa w jednej ręce, z lodem w drugiej, w serdecznej rozmowie z wysokim, potężnym brodacem. – To Fiedor – krzyczy Ania. Rzucamy się sobie w objęcia. Zostało nam półtorej godziny do odjazdu pociągu. Idziemy do dworcowego baru, zamawiamy piwo oraz *pielmieni* i gadamy, rozmawiamy, gwarzymy. Fiedor odprowadza nas do pociągu, pomaga ładować bagaże. *Prowadnica* zauważając nasze wory i to, że jesteśmy cudzoziemcami, już chciała nas skasować za ponadnormatywne bagaże. W tym momencie okazał się niezbędny Fiedor, który przyhamował zapędy konduktorki, wyjaśniając: – To składane bajdarki! Sprzęt turystyczny wozi się w rosyjskich kolejach za darmo! Całujemy Fiedora i ruszamy nad Bajkał.

Jeszcze w zimie byłam przekonana, że z małżeństwem z Kemarowa spotkamy się na pewno, gdyż i oni, i my planowaliśmy wyjazd w lipcu. Za ich przykładem na stację docelową naszej podróży koleją transsyberyjską obraliśmy miasteczko Sludiankę nad Bajkałem. Snułam różne plany: a to że spotkamy się w pociągu, a to że odprowadzimy ich na dzień drogi w górę rzeki Utulik. Z tamtej strony nie było aplauzu dla moich pomysłów. Po miesiącu przyszły informacje, że nie płyną Utulikiem, ale rzeką Langutaj i Chara-Murin. Trochę później pisali o strumieniu Snieżnaja. Zresztą prowadzą większą grupę ludzi, są związani ze swoją ekipą terminami. Zrezygnowałam ze spotkania, poprzestając na uzyskaniu od nich jak najwięcej cennych informacji. To Kemarowo przysłało nam Internetem mapy Irkutu, bez których nie mielibyśmy bladego pojęcia, gdzie jedziemy. Otrzymaliśmy od nich również opis przeszkód na rzece i adresy dwóch kierowców

w Sludiance. Bardzo pożyteczny okazał się również adres Poiskowo-Spasatielnowo Otriada w Sludiance, ulica Mostowaja 2a, nad samym Bajkałem, który udostępniam wszystkim zainteresowanym. Jest to instytucja, jak się domyślam, łącząca funkcje naszego WOPR i GOPR, a w Sludiance działająca bardzo aktywnie. Turyści rosyjscy przed wyjściem w góry czy wyjazdem na spływ, dla własnego bezpieczeństwa, rejestrują się w miejscowym oddziale tej organizacji, zgłaszając cel wyprawy i termin powrotu. My też tam dotarliśmy, meldując nasz spływ i dając na przechowanie prezent dla Tolika i Tani (oni też zostawili dla nas czekoladę i koniak). Do paczuszki dołączyłam informację, kiedy wracamy na odwrocie naszej fotografii. Po dwóch tygodniach zaglądamy do GOPR'u z WOPR'em, a za nami ktoś woła „Celina i Jarosław!” To była Tatiana. Ich ekipa wypoczywała w otriadzie po spływie rzeczką Langutaj i Chara-Murin, a przed Snieżnąją. Jedni wędkowali nad Bajkałem, inni naprawiali sprzęt, większość wygrzewała się na słońcu. Tatiana szczupłutka, na oko 35-letnia dziewczyna (jak ona nosi te 50 kilogramów na plecach?), bardzo serdeczna, uśmiechnięta, otwarta. Mąż małomówny, cieszący się widocznym poważaniem towarzystwa jako lekarz i wodniak. Trochę nam potowarzyszył, zaśpiewał z gitarą dwie ładne piosenki o kajakarzu ryzykującym życie na progu i odszedł do obowiązków, czyli smażyć racuchy dla całej *kamandy*. Miał jeszcze pół wiadra ciasta, kiedy go żegnaliśmy.

Kolej transsyberyjska – zostań w Tajdze w toalecie

Koleją transsyberyjską jeździło się nam wspinał: bieżąca woda w toalecie, wrzątek dostępny na okrągło, tłumy babuszek z pysznościami na peronach. Jedyłą zasadzką, w którą nieustannie wpadaliśmy, było zamykanie (na piętnaście minut przed stacją) i otwieranie (w kwadrans po ruszeniu) toalet. Jeżeli akurat pechowo trafiał na postój, który trwał dwadzieścia minut, rozdziała się z tego godzina w cierpieniu.

Tak zdarzyło się nam w mieście Tajga. Ubikacje dawno zamknięte, ale jest rozwiązanie – nasz wagon zatrzymuje się na peronie wprost przed

SŁOWNICZEK

bajdarka – kajak,
pielmieni – rodzaj pierożków,
przewodnica – pani kuszetkowa,
Poiskowo-Spasatielnij Otriad – Oddział Poszukiwawczo-Ratunkowy (rodzaj naszego WOPR-u połączonego z GOPR-em), działają na wodzie i w górach,
kamanda – ekipa,
kupe – przedział,
omul – gatunek ryby występującej tylko w jeziorze Bajkał,
krugobajkałka – lokalny pociąg poprowadzony wzdłuż południowo-zachodniego brzegu Bajkału,
elektryczka – lokalny pociąg,
tuman – mgła,
skwiernyj – wredny,
katy – katamarany,
poputna maszyna – „okazja”, autostop,
marszrutki – płatne busy kursujące pomiędzy wioskami.



Po pierwszej wywrotce. W tle Tunkińskie Golce. Fot. Wiesław Michalak.

napisem „Płatne toalety”. Pociąg ma stać według rozkładu dwadzieścia pięć minut – na pewno zdążymy. Wyskakujemy i w pośpiechu schodzimy w kafelkowe sztolnie. Tymczasem w wagonie panika! Pociąg już rusza! Ma opóźnienie i przestanki są skracane. Wiesiu i Ania błagają „przewodnicę”, aby wstrzymała pociąg. Radośni wychodzimy z toalety, a z otwartych jeszcze drzwi wagonu okrzyki i machanie „Szybciej! Szybciej! Pociąg odjeżdża!”. Wskakujemy na stopnie, za nami wchodzi *przewodnica*, wciąga schodki i odjeżdżamy. A mogliśmy zostać w Tajdze...

Koleją transsyberyjską z Włochem Alberto i Czechem antyglobalistą

Różnie spędza się czas w kolei transsyberyjskiej. Nam się nie nudziło w podróży. Nie zajmowaliśmy w czwórce jednego przedziału, każda para jechała oddzielnie, mając rosyjskie towarzystwo; takie jedynie bilety w obie strony udało nam się kupić. Jak się okazało w praktyce, było to błogosławione rozwiązanie: nie mężczyliśmy się razem dziesięć dni we wspólnym przedziale, bo tyle trwała nasza podróż z Gdańska nad Bajkał i z powrotem, a poza tym mieliśmy wiele okazji poznać Rosjan i do upadłego rozmawiać po rosyjsku.

W drodze nad Bajkał jechaliśmy pociągiem Moskwa – Władywostok o nazwie „Rosja”, który był klimatyzowany; niestety, po jednym dniu w naszym wagonie urządzenie padło, ale świadczą, że w pozostałych działało, co sprawdziłam w drodze do wagonu restauracyjnego. W tej sytuacji mieliśmy okazję zaobserwować, jak brak klimatyzacji sprzyja kontaktom towarzyskim. Dlaczego? Z powodu gorąca nie dawało się wytrzymać w przedziałach, toteż pasażerowie spędzali czas na korytarzu w huraganowym przeciągu z otwartych okien. Kiedy tak stoi się obok siebie, obserwując widoki, nietrudno o kontakt. Rozmowy kończyły się zapraszaniem nas na kawę do przedziału, my z kolei organizowaliśmy u siebie wieczory muzyczne śpiewając wspólnie piosenki rosyjskie i polskie.

W kolei transsyberyjskiej można spotkać oryginalów z całego świata. Wróciłam z przechadzki po dworcu w Nowosybirsku, a na moim miejscu siedzi jakiś facet. Na oko 60 lat, ze stroju trudno coś wywnioskować – jasne spodnie i biała koszulka polo. Obok niego na ławce dwie wielkie czarne torby zajmujące resztę wolnego miejsca, ale wiotkie, pustawe. Na korytarzu plastikowa, duża waliza, której nie udało mu się wtaszczyć na górną półkę. Dotychczas podróżowaliśmy bardzo wygodnie w trójkę czteroosobowym kuce. Spaliśmy na górze zgodnie z zakupionymi biletami, ale cały dzień urzędowaliśmy na dolnej wolnej „kojce”. Teraz na niej rozpiął się facet. – Gdzie pan jedzie? – zaczynam rozmowę. – Do Krasnojarska. Aha, czyli będzie z nami tylko wieczór i część nocy, jakoś wytrzymamy. Od słowa do słowa wyjaśniło się, że to Włoch, mieszkaniec Pizy, który podróż kolejną transsyberyjską z Moskwy do Władywostoku podzielił na siedem odcinków: Moskwa, Swierdłowski, Omsk, Perm, Nowosybirsk, Krasnojarsk, Ulan-Ude i Władywostok – jechał nocą, a zwiędzał w dzień.

Ponieważ byliśmy rozgrzani wczorajszą niezwykle udaną imprezą muzyczną, Jarek zapytał go, czy zna jakieś włoskie pieśni. Alberto po prostu zacerpnął powietrza i zaśpiewał dramatycznym tenorkiem klasyczny utwór „Santa Lucia”. Wieczór pieśni włoskiej się rozpoczął. A nie sądzicie, że Alberto czuł się onieśmiałony w naszym zżytych przez dwie doby towarzystwem. Nic podobnego, pragnąc nadać jej neapolitański charakter, poprawiał błędy, doskonalił nasz akcent. Mieliśmy świetną zabawę, więc z żalem żegnaliśmy go w Krasnojarsku.

Dzień później pojawił się Czech z pochodzenia, obecnie obywatel Niemiec, antyglobalista, przeciwnik Internetu i telefonów komórkowych. Jechał kolejną transsyberyjską, aby spotkać się z prostym rosyjskim człowiekiem. Niestety, spędziliśmy razem tylko kilka nocnych godzin pomiędzy Irkuckiem a Sludianką i tak obiecująca znajomość nie miała szans się rozwinąć.

Sławne morze, święty Bajkał

Kiedy snuliśmy plany ambitnej wyprawy w dziewiczą przyrodę Rosji, żaden cel nie poruszył naszych serc tak jak Bajkał. Wybieraliśmy się na spływ rzeką, jednak krótkiego rejsu wzdłuż brzegów Bajkału nie mogliśmy sobie odmówić.

Pomysł na Bajkał miałam taki: ze Sludianki przejedziemy około 40 km do wioski Utulik przy ujściu rzeki Utulik i wrócimy kajakiem wzdłuż brzegu do Sludianki, z której wyruszymy już na właściwą wyprawę w górę Irkutu. Oczywiście Utulik pojawił się na mocy sentymentu – zobaczymy chociaż niewielki odcinek rzeki, którą pływali Tatiana i Tolik.

W Sludiance wysiedliśmy z kolei transsyberyjskiej nad ranem, opóźnieni o godzinę. Na peron za nami wyszło pół wagonu. Nie chcę rozstrzygać, czy chcieli nas pożegnać, czy raczej skusiły ich słynne bajkałskie omule, sprzedawane dzień i nocą na peronach Sludianki... O smaku wędzonych omuli współpasażerowie opowiadali nam legendy.

Ja już tego nie widziałam, bo pobiegłam do okienka informacji. Przebłyskiwały mi w głowie wiadomości z przewodnika, że godziny odjazdu krugobajkałki są mało dostosowane do ruchu turystycznego: tylko o świcie i po południu. I rzeczywiście, pociąg do Utulika odjeżdża za dziesięć minut. Szukam pociągu – jest! Skoczyłam kupić bilety – już mam! Pędzę z powrotem do ekipy. Jarek wciąż żegna się z Rosjankami z wagonu, Ania kupuje omule, Wiesiu przymierza się do ładowania worów na wózek. „Za dziesięć minut odjeżdża pociąg do Utulika!” – komenderuje, podrywając całą ekipę. Biegniemy z wózkami w stronę peronu elektryczki. Już prawie jesteśmy, ale dzielą nas od pociągu dwie rampy i podwójne tory – nie przejedziemy. Maszynista i konduktorka z *krugobajkałki*, widząc, że spieszymy do nich, poganiają nas: – Prędziej! Prędziej! Pociąg odjeżdża! Dobre sobie, ale jak błyskawicznie przenieść te osiem worów na drugą stronę? Jarek woła: – Ludzie pomóżcie! Kilku mężczyzn rzuca się do pomocy i nadludzkim wysiłkiem wrzucamy wory do wagonu. Pani konduktorka zadowolona, że się powiodło, widząc że jesteśmy turystami, nawet nie sprawdza nam biletów.

Kolejka jest czysta. Doskonale działa głośnik zapowiadający kolejne stacje. W czasie półgodzinnej podróży nieprzerwanie widać Bajkał. Obserwujemy brzeg, starając się zorientować, gdzie będziemy mogli założyć obóz w czasie powrotnego rejsu do Sludianki. Nie ma jeszcze szóstej, kiedy wysiadamy na małej stacji kolejowej w Utuliku. Gdzie może być najlepszy biwak dla kajakarzy? Przecież nie w środku wsi! Jedziemy wózkami nad Utulik, stawiamy namioty i wypijamy zwycięską kawę nad rzeką.

Następnego dnia w gęstej mgłę spływamy kilometr Utulikiem i w białym mleku, na zupełnie gładkiej wodzie ruszamy wzdłuż Bajkału. Nie tylko nie widać gór z przeciwległej strony, ale ledwo majaczą zarysy naszego brzegu. Prowadzimy kajak na ledwo widoczne w тумanie skarpy półwyspów. Drogowskazem jest dla nas również stukot kolei transsyberyjskiej poprowadzonej wzdłuż brzegu. Jesteśmy nad Bajkałem i nie widzimy Bajkału. Na szczęście następnego dnia mgła się rozwiewa i mamy okazję sfotografować się na tle gór i skał otaczających Bajkał. Po południu dobijamy do Sludianki i popędzani żądzą przygody, wieczorem jeszcze tego samego dnia odjeżdżamy nad Irkut.

Wolę jedyńki niż piątki

Jadąc samochodem ze Sludianki w górę Irkutu, około 200 km na zachód, obserwowałam jak góry stopniowo przybliżają się do rzeki i splecionej z nią drogi. Początkowo wyłaniały się na horyzoncie rozległe doliny, przed Mondami wyrastały stromo tuż za drogą i rzeką. Wieczorem stanęliśmy na biwak na łące nad Irkutem, nie dojeżdżając do Mond. Szczyty Tunkińskich Golców na tle ciemniejącego błękitu nieba wyglądały jak wycięte z czarnego papieru ostre trójkąty. Rzeka w tym miejscu rozdzielała się na dwie odnogi. Lewa, nad którą obozowaliśmy, pełna kamieni i mielisz, nie zapowiadała bystrzy za zakrętem. Nazajutrz, pod palącym słońcem, pano-



Katamaran na „Skwiernym”.
Fot. Celina Mróz.

wie złożyli kajaki, załadowali bagaże starannie zapakowane w wodoszczelne wory, założyli fartuchy i ruszyliśmy!

Natychmiast wchodzimy w bystry nurt. Kajak zalewany jest wałami wody. Ocieramy się o kamień z prawej. Kajak przechyla się powoli w lewo. Nachylam się w prawo, aby zrównoważyć przechył. Wciąż nie wierzę, że może być złe. Może w ostatniej chwili się wyprostujemy? I tak, zdumiona całkowicie, znalazłam się raptem do góry nogami pod wodą. Mimo wyrotki nie doznaliśmy żadnych strat. Pakowanie worów i ich mocowanie okazało się bardzo skuteczne. Chociaż wszyscy płynęliśmy na mokro, z wodą w kajaku, bagaże mieliśmy suche. Tu i ówdzie zamókł rękaw koszuli czy róg ręcznika, ale na biwaku wysuszyliśmy wszystko na prażącym słońcu. Po kolacji oglądaliśmy następny odcinek. Próg przed nami wygląda przerażająco, kipiel z ostrymi kamieniami. Trudno uwierzyć, że takie grotty sterczące spod wody mogą przez wieki tkwić w progu obmywane rwącym prądem i nic nie stracić ze swojej spiczastości. Rosjanie nazywają go „Skwierny” czyli „Wredny”.

Płyniemy. Wszystko rozgrywa się w sekundy i znów jesteśmy w wodzie. Nie wiem, jak wypadam z kajaka, jak łapię się przewróconej łajby, nie pamiętam, jak przelatuję przez próg pełen bałwanów i jak łapię się za kamizelkę Jarka. Razem docieramy do brzegu. Stojąc już na płyciźnie widzę, jak kajak nadziany na głaz zwija się w rogalik.

Wieczorem po katastrofie, pod deszczem bębniącym o namiot zmagalam się z oceną tego, co się zdarzyło. Kajak był roztraskany, dalej nie popłyniemy. Do dzisiaj wierzyłam, że wystarczy wypelnić gorliwie polecenia Jarka „Prawa! Lewa!”, a on tak pokieruje kajakiem, że się przebijemy. Myliłam się. Progi Irkutu przerastały nasze umiejętności, a „Skwierny” dowiódł tego ostatecznie.

Sądząc, że Irkut jest łatwą rzeką, przyjechalśmy bez kasków. Wszyscy wyposażeni byliśmy w kamizelki ratunkowe oraz posiadaliśmy rzutkę. Moja kamizelka działała wysmienicie i dzięki niej wypływałam na powierzchnię wody bez świadomego działania. Jak przeturlałam się przez „Skwierny” świadczyły jedynie moje pobijane nogi i ręce. Do licha, na rzekach wolę je-

dynki niż piątki i przekładam opalanie się z nogami na dziobie od fikołków w bałwanach.

Co lepsze: katamarany czy pontony?

Po tygodniu obozowania w samotności pod Mondami zupełnie straciliśmy nadzieję, że cokolwiek oprócz nas pływa Irkutem. A przecież w znalezionych tu i ówdzie informacjach mówiło się, że to popularna wśród początkujących rzeczka. Jaka była nasza radość, kiedy zauważyliśmy na brzegu namioty. Była to młodzież z miasta Urałsk na Uralu. Zaczynali właśnie spływ Irkutem na dwóch katamaranach: szóstce i dwójce. Spędziliśmy z nimi wieczór popijając wino i herbatę zbieraną na stokach Tunkińskich Golców. Następnego dnia ścisaliśmy kciuki za szczęśliwe przejście katów przez „Skwierny” i kanion. Ten sześciuosobowy przeleciał sprawnie, ale dwuosobowy jakby się zapadł w kipiel, po chwili wyskoczył z wody jak korek, zakręcił się tyłem do przodu i przeskoczył próg.

Przyglądaliśmy się ich katamaranom. To dzieła własnych rąk załogantów: cygara transportują z sobą, stelaż montują na miejscu z przywiezionych stalowych elementów albo ze ściętych nad wodą drzew. Konstrukcja pokładu jest ażurowa, woda przepływa na przestrzał. Plecaki w foliowych workach należy po prostu przywiązać do belek. Wiosłuje się kłęcząc w specjalnych strzemionach, siedząc okrakiem na zwiniętych w rolki karimatach. Wiosła to kij z piórem wyciętym z blachy, kamizelki ratunkowe sporządzone są z karimat albo ze zwyczajnych kurtek z wszytymi kawałkami styropianu, kaski – budowlane. Entuzjazm do pływania wielki!

Po południu pojawiły się z nagła dwa pontony: niebieski i pomarańczowy, z liczną załogą, ale bez bagaży, które transportowano drogą. Łąka nad Irkutem rozkwitła barwami; pontoniarze wyglądali bardzo profesjonalnie i kolorowo, założyli na siebie wszystko co możliwe od stop do głów. Przybiegliśmy popatrzeć, jak pójdzie kolegom i zagadywaliśmy do nich, ale wodniacy, w większości dojrzały mężczyźni o marsowych minach, odpowiadali mruklawie. Miałam wrażenie, że wykonują swoją robotę i nie chce im się

strzępić języka na towarzyskie pogaduszki. Spływ wyglądał na komercyjny, a pośród załogi byli chyba zagraniczni turyści. Przepływanie „Skwiernego” odbyło się według planu; żadnego zamieszania, pokrzykiwania; każdy wiedział, co ma robić: kilka osób na asekuracji daleko poniżej progu, jedna kręciła film wideo na pamiątkę dla pasażerów. Spłynęli sprawnie, a wejścia do kanionu w ogóle nie ubezpieczali – wpłynęli w gardziel z biegu. I tyle ich widzieliśmy.

Spieszeni kajakarze w Tunkińskiej Dolinie

W planach naszej wyprawy uwzględniałam poznawanie przyrody, kultury i ludzi Tunkińskiej Doliny, robiąc znad rzeki wypadki do ciekawych zakątków opisanych w książce „Bajkał – morze Syberii”. Teraz nie mogliśmy płynąć Irkutem, którego prąd uniósłby bez wysiłku nasze, co tu ukrywać, wielkie bagaże. Byliśmy w sytuacji trudniejszej niż piesi turyści, bo sprzęt był za ciężki do dźwigania na większe odległości, nie przystosowany do noszenia na plecach, na dodatek mieliśmy jeszcze kajaki.

Wiesiu jednak proponował pozostawienie złożonych bajdarek „u chłopca” i ruszenie z namiotami i całą resztą w góry, zamieniając spływ kajakowy w górski obóz wędrowny. Nad nami wyrastały strome granie Tunkińskich Golców, z najwyższym szczytem Munku-Sardyka (3491 m). Wiesiu nie mógł usiedzieć na miejscu i ustawicznie pokazywał palcem co bardziej strome, wbijające się w niebo szczyty jako cel naszej wspinaczki. Ja jednak oceniałam realnie możliwości naszego zespołu w wędrowaniu po górach z pełnym turystycznym obciążeniem, jak również wątpiłam w zakończenie takiej ekspedycji w dobrych humorach. Znacznie łatwiejsze będzie, sądziłam, zakładanie baz „u chłopca” wzdłuż drogi Mondy – Żemczug, etapami wracając w stronę Sludianki i robienie z nich jednodniowych wypadów z butelką wody i kanapkami w plecaczku.

Na pierwszy obóz wyznaczyłam miejsce naszego obecnego biwaku przy „Skwiernym”. Uznaliśmy, że ponieważ przez trzy dni nikt się tu nie pojawił, to niewiele ryzykujemy opuszczając namioty na cały dzień, zabierając ze sobą to co najważniejsze: paszporty, pieniądze i bilety. Możemy zrobić wyprawę do Mond, potem spacer w górę Irkutu, trzeciego dnia obejrzymy kanion i progi poniżej. Zgodziliśmy się, że jednego dnia Wiesiu będzie przewodnikiem ekspedycji na wybraną przez siebie górę.

Po czterech dniach przeniesiemy się 50 kilometrów bliżej Sludianki do wsi Turan. Stąd poprowadzę wycieczkę do kurortu Nilowa Pustelnia, a jeżeli starczy nam sił, do świętego miejsca szamanistów i lamaistów na piaszczystą górę Burchan-Babaj i dalej do jurty-muzeum w Chojto-Goł. Z Turanu możemy się też wybrać do Kyrenu – stolicy Tunkińskiej Doliny, aby zwiedzić dacan, czyli lamajską świątynię.

Ostatni skok wykonamy do wsi Żemczug, kolejne 50 km w kierunku Sludianki. Stamtąd wyruszymy na trzy dni do kurortu Arszan. Obejrzymy dwanaście wodospadów na strumieniu Kyn-garga i zdobędziemy Pik Liubwi (2200 m).

W Żemczugu jesteśmy już umówieni na drogę powrotną do Sludianki z kierowcą, który dowiózł nas w górę Irkutu. Mieliśmy co prawda pierwotnie dopłynąć tutaj rzeką, natomiast teraz, jako spieszeni kajakarze, dojedziemy drogą na poputnych maszynach, czyli „okazją”.

Zastanawiacie się pewnie, czy tak ambitny plan udało nam się zrealizować? Dola spieszonych kajakarzy okazała się niełatwa: korzystaliśmy z miejscowych środków transportu i jeździliśmy czym się dało, pokonywaliśmy w żarze wielkie odległości na piechotę. W dniu wycieczki do Nilowej Pustelni przeszliśmy 20 km i to w jakim celu? Aby zwiedzić muzeum w jurcie w wiosce Chojto-Goł, miejscu na końcu świata.

Konieczność pozostawienia namiotów i kajaków w obejściu pod opieką, jak również poruszanie się autostopem za pieniądze wymusiło częste kontakty z tubylcami; zawsze byliśmy im chętni, a w tej sytuacji stały się wręcz niezbędne.

Mimo przesładowanego nas żalu z powodu rozbitego kajaka i tego, że w sumie pływaliśmy tylko pięć dni (dwa nad Bajkałem i trzy Irkutem), piesza część wyprawy nas zachwyciła. Zrealizowaliśmy prawie wszystkie pomysły i codziennie rozsypywał się worek z przygodami.

Ci wspaniali mężczyźni na swych mechanicznych koniach

Droga Sludianka – Mondy to trasa, którą dostaniesz się z Bajkału do Tunkińskiej Doliny i dalej do przejścia granicznego z Mongolią. Tutaj rządzą mężczyźni za kierownicami swoich maszyn. Rzecz w tym, że autobusów w Tunkińskiej Dolinie jeździ kilka na dzień. Tubylcy zabierają się więc *poputnymi maszynami*. Stają przy drodze, machają ręką, a jeżeli samochód się zatrzyma, uzgadniają z kierowcą cenę i albo jadą, albo zostają na szosie. Dzięki większym możliwościom finansowym nam było i tak łatwiej, lecz z drugiej strony widząc obcokrajowców niektórzy kierowcy próbowali zdzierać z nas skórę. Oprócz tego pomiędzy wioskami kursują *marsrutki*, ale zasad i godzin ich odjazdów nie udało mi się rozszyfrować.

Ach, romantyka *poputnych maszyn*! Zawodowi kierowcy, z reguły wstawieni, pracują w nieodległych Sajanach w kopalniach złota. Pasażerowie powszechnie podróżują na skrzyniach razem z ładunkiem. Znane nam europejskie standardy pakowności nie mają tutaj żadnego zastosowania – wejdzie tyle osób, ilu jest chętnych. Dodatkowe trudności stwarzają stada krów, a gdzieniedzie i konie, które zachowują się tak, jakby były równoprawnymi uczestnikami ruchu. Bydło przemieszczą się środkiem drogi, nie reagując na klaksony i zmuszając kierowców do zwolnienia i wymijania. Kolejną osobliwością jest spora liczba japońskich samochodów z kierownicą po prawej stronie, przystosowanych do ruchu lewostronnym. Jeżdżenie takim autem w ruchu prawostronnym wymaga iście cyrkowych umiejętności.

Jechaliśmy *poputnymi maszynami* za darmo, za polski grosz, a i drogo też się zdarzyło. Bywało, że roztawialiśmy się z kierowcami w braterskiej miłości, a bywało, że w gniewie. Przy-

trafiło się nam zmieścić w dziewięć osób w szoferce Kamaza. Kolejny odcinek przejechaliśmy w Moskwiczu pick-up, zamknięci na glucho, bez światła i powietrza. Tył samochodu został całkowicie wypełniony naszymi bagażami, dla nas ledwo starczyło miejsca. Na koniec kierowca wciśnął pomiędzy sufit a nasze głowy koś, więc podróż stała się nie tylko mało komfortowa, ale i niebezpieczna.

Pewnego razu, wracając z wycieczki do Kyrenu na biwak w Turanie, zgodziliśmy się nieroztropnie na podwiezienie nas do połowy trasy i pozostawienie przy pustej wieczorową porą drodze. Samochodów jeździło mało, na dodatek żaden się nie zatrzymał. Wyznaczyliśmy sobie termin, że czekamy przy szosie do dziewiątej, a potem szukamy noclegu w pobliskich chałupach. Za pięć dziewiąta zatrzymał się kierowca, który twardo powiedział: – Sto rubli od każdego albo jadę dalej, a o tej porze nikt was nie zabierze. Wybraliśmy nasze śpiwory w namiotach nad kolejną przygodę, która już czekała na wyciągnięcie ręki w pobliskim gospodarstwie. To było najdroższe 30 kilometrów na naszej wyprawie.

Odtąd śpiąc w namiocie przy szosie wsłuchiwałam się z przyjemnością w odgłosy przejeżdżających samochodów – im ich więcej, tym pewniejsza dalsza droga.

Mieszkaliśmy u szamana

Przenosząc naszą bazę z Mond do Turanu, zabraliśmy się *poputną maszyną* i wysiedliśmy na skraju wsi pod tablicą z napisem TURAN, bo nic mądrzejszego nie przyszło nam do głowy. Panowie zostawili mnie i Anię wraz z bagażami w cieniu nad Irkutem i poszli szukać gospodarstwa na biwak. Pierwszy dom był opuszczony, w drugim same dzieci, udało się w trzecim – gospodyni się zgodziła. Jedziemy w skwarze wózkami z bagażami te 500 metrów na podwórko. Naprzeciw nam wychodzi wysoki, szczupły, starszy Buriat (na razie dla nas to wielka egzotyka, po kilku dniach się przyzwyczaimy) – pijany, bez przednich zębów, w rozchelstanej koszuli, na bosaka,



belkocze coś niezrozumiale i chce nam pomóc: to wpada pod kółka, to łapie za pasy worów o mało co nie wywracając wózka, to obejmie z nadmiaru serdeczności mnie czy Anię. Chwilę później okazuje się, że to mąż gospodyni, spokojnej, dystygowanej, przystojnej Buriatki, nauczycielki miejscowej szkoły na emeryturze.

Dom jest drewniany z czterospadowym dachem. Przy domu porośnięte trawą podwórko, ze studnią i letnim piecem. Rozbijamy namioty pod płotem. Spragnieni, pijemy wodę ze studni. Nagle dopada do nas Buriat, wyrwa kubki z rąk, wylewa wodę i krzyczy, że gości wita się w domu mlekiem. Ho! Ho!, myślę sobie, będziemy może nie w jurcie, ale w chacie u buriackiej rodziny, w końcu przy żonie nie zje naszej czwórki na obiad... Wchodzimy: wpięty ganek, dalej kuchnia, gospodarze pokazują nam również olbrzymi kwadratowy pokój z piecem pośrodku, podzielony tylko zasłonami na części: lewą męską i prawą kobiecą. Sprzęty najpotrzebniejsze i wysłużone, ale czysto (nazajutrz gospodarz, w rewanżu, przeszedł na czworakach na przestrzał namiot Wiesia i Ani, z ciekawością przyglądając się wyposażeniu). Po obejrzeniu domu Buriat siłą sadza nas przy stole i częstuje, robiąc przy tym dużo krzyku i nieporządku: świeżym mlekiem krowim, potem kozim, dalej kefirem, twarogiem ze śmietaną, masłem, chlebem, czeremchą i konfiturami z borówek. Wszystko pyszne, własnej roboty. Życie zmusza ich do samowystarczalności. Kupują w sklepie wyłącznie mąkę, cukier i sól. Na koniec wypiliśmy kilka kubków herbaty z mlekiem. W czasie posiłku pojawia się córka gospodarza – uroczą i zgrabną Darimę z prześliczną córeczką Julią. Wieczorem znów jesteśmy zaproszeni i tak się ciągnie przez cztery dni aż do naszego wyjazdu. Pierwszego dnia żona na stronie wyjaśnia nam, że mąż trochę wypił, ale jutro będzie już zdrowy. Jednak w stanie męża nie było większych zmian. Następnego dnia był jakby bardziej trzeźwy, ale trzeciego znów wstawiony. Pracował niewiele, ustępował wyraźnie żonie wykształceniem. Mimo tego jego zachowanie traktowane było z wyrozumiałością, a on sam cieszył się szacunkiem i posłuchem domowników. Jarek uznał, że jest to przykład patriarchy panującego u Buriatów – chłop chociaż pijany, głupi i leniwy pozostaje zawsze głową rodziny. Zgodziłam się z nim.

W przeddzień odjazdu gospodyni zaproponowała nam pomoc w transporcie do zaplanowanej ostatniej bazy, do Żemczuga. Plan był koronkowy, a zasadzał się na pomysł, że znajomy kierowca ma przywieźć drugą wnuczkę do babci, a w powrotnej drodze odwiedzić nas na miejsce. Nazajutrz zjedliśmy śniadanie, złożyliśmy namioty i czekamy. U Buriatów się nie spieszy... Zostaliśmy zaproszeni na śniadanie, potem przewróciliśmy siano. Samochód wciąż nie przyjeżdżał. Przenieśliśmy się na ganeczek. Do gospodarza przyszedł jakiś człowiek – Buriat. Gospodyni Zoja wyjaśniła nam półgłosem, że jest to pastuch, który prosi męża, aby odprawił modły do osiemnastu bogów gór za pomyślność jego bydła. Dlaczego właśnie męża? Okazuje się, że jest szamanem; jako dziecko towarzyszył

SPLYW W PIGULCE

Długość trasy

- **Etap I** – wzdłuż brzegu Bajkału od wsi Utulik do miasteczka Sludianka (około 40 km).
- **Etap II** – rzeką Irkut od wsi Mondy za kaniion (około 5 km).

Dojazd

Koleją transsyberyjską do miasteczka Sludianka nad Bajkałem (Gdańsk-Sludianka – 5 dni pociągiem w jedną stronę), dalej do wsi Utulik lokalnym pociągiem – *krugobajkatką*, ze Sludianki do Mondy na górę Irkutu (około 200 km) – samochodem, z powrotem tak samo. Granice przekraczaliśmy z pieczętkami AB w paszporcie.

Koszt

500\$ na osobę:

- 350\$ pociąg Gdańsk – Sludianka i z powrotem, bilety na kolej transsyberyjską w czteroosobowym przedziale sypialnym kupowane w Rosji;

- 50 \$ transport samochodowy, np. za transport ze Sludianki do Mond dla 4 osób z całym bagażem zapłaciliśmy 2500 rubli, czyli 82\$;
- 100\$ jedzenie i pozostałe koszty.

Trudności

Bajkał – jeżeli nie ma wiatru, trasa łatwa.
Irkut – rzeka górską, od WW2 do WW4.

Potrzebne umiejętności

- doświadczenie w pływaniu po górskich rzekach (Irkut),
- znajomość rosyjskiego.

Dodatkowe informacje

Opis trasy po rosyjsku można przeczytać na następujących stronach:
<http://www.lib.ru/TURIZM/altasay.txt>
<http://express.irk.ru:8100/tour/tur/vod/bb.htm>
<http://www.baikal.irkutsk.ru>

on dziadkowi w odprawianiu modlitw, zapamiętał zaklęcia i teraz ludzie z całej okolicy zwracają się do niego o pośredniczenie w rozmowach z duchami. Zostaliśmy zaproszeni na ceremonię. Dawniej pewnie szaman zakładał na taką uroczystość specjalny strój, teraz gospodarz przepasał się tylko grubym skórzonym pasem, ale czuło się, że szerniały ramię jest symbolem pełnienia kapłańskich funkcji. Nasz szaman miał wydzielone miejsce na obrzędzie – zakątek ogródka, gdzie w wiaderku wiszącym na płocie zostały zapalone dymiące się gałązki. Do uroczystości potrzebna była również butelka wódki. Twarze mieliśmy skierowane na południe. Gospodarz modlił się głośno i długo po buriacku, zaś na zakończenie każdej sekwencji bryzgał wódką na cztery strony świata. Słońce paliło mocno, jak codziennie w ostatnich dniach i po modłach do dwóch bogów zostaliśmy na szczęście zwolnieni przez gospodynię z dalszego udziału w obrzędzie. Modlitwa trwała około godziny. Usiedliśmy w cieniu na ganku, gdzie nie krępiąc nikogo mogliśmy przyglądać się życiu mieszkańców.

Około pierwszej przyjechał wyczekiwany przez nas samochód, ale to nie oznaczało, że jedziemy. Gości należało zaprosić do domu, napoić, nakarmić, porozmawiać. Przybył kolejny Buriat. Gospodarz zaczął szykować się do drogi. Z pastwiska zostały przyprowadzone dwa konie, osiodlano je, zawieszono juki, włożono w nie suchary i do kulbaki przytoczono przeciwdeszczową kurtkę. Gospodarz okręcił nogi onucami, założył wysokie buty. Widząc nasze zainteresowanie

żona wytłumaczyła, że do męża przybył posłaniec od chorego daleko w górach z prośbą, aby przyjechał odegnąć modlitwami chorobę. Nasz kierowca daje nam wreszcie znak, aby ładować bagaże. Żegnamy się serdecznie z gościnną buriacką rodziną. Mieszkaliśmy u szamana, po tym odkryciu patrzyliśmy zupełnie inaczej na jego niewątpliwie uzależnienie od alkoholu.

Czas kończyć, a przecież przygód mieliśmy tyle, że opisanie ich wszystkich zajęłoby mi co najmniej drugie tyle miejsca. Tylko jednego pomysłu nie udało się nam zrealizować – kąpieli w wodospadach strumienia Kyngarga. Woda była tak piekielnie zimna, że kiedy zanurzyłam nogi z krzykiem wyskoczyłam.

Ta wyprawa przebiła wszystkie poprzednie: płynęliśmy Bajkałem i Irkutem, wędrowaliśmy po górach, mieszkaliśmy u szamana, smakowaliśmy życia rosyjskiego kurortu. Wróciliśmy oczarowani Buriacją.

WIOSŁO

